

Józef Weyssenhoff

Gromada

POWIEŚĆ



Józef Weyssenhoff

Gromada

POWIEŚĆ

Armoryka
Sandomierz

Projekt okładki: Juliusz Susak

Na okładce obraz wygenerowany przez fotor-ai

Tekst wg edycji z roku 1925.
Zachowano oryginalną pisownię.

© Wydawnictwo Armoryka

Wydawnictwo Armoryka
ul. Krucza 16
27-600 Sandomierz
<http://www.armoryka.pl/>

ISBN 978-83-8064-100-6

I.

Nie była to ani wieśniacza chałupa pomnożonego rozmiaru, ani siedziba właściciela znacznej przestrzeni ziemi w stylu zachodnio-europejskim. Był dwór polski. Jak porost, któremu przyroda skąpo odmierzyła kres wybijania ku niebu, lecz nie kładła granic krzewieniu się na wszystkie strony po ziemi, domostwo rozpełzło się kilkunastu izbami w linje łamane ścian i dachów, spojone wszelako przez ideę wygodnego dworzyszczka. W dach rozłożysty wbudowano pośrodku niby mniejszy domek, kolumnowy od podjazdu i gnieźdzący w sobie piętrowe salki na dwa fronty; gdzieś z boku wyrosło też nieśmiałe, gościnne pięterko — naogół jednak dwór, gdy go się oglądało zdaleka, miał pozór pokrywy jakiegoś ogromnego naczynia, ukrytego pod ziemią.

Tak sobie ten kojec mieszkalny ulepiły stopniowo liczne pokolenia Bronieckich, dziedziców Sławoszewa z atynencjami; tak go zachował i rozparł jeszcze sobą pan Józef Broniecki, mąż krzepki, wdowiec zaledwie czterdziestokilkoletni, który mieszka tu z dorosłą już córką, Mańką. Bronieccy pieczętują się zdawna herbem Przyjaciół, przedstawiającym, jak wiadomo, serce na talerzu. I nigdy to godło uprzejme nie było noszone właściwiej, jak przez obecnego, ósmego pono z rzędu dziedzica Sławoszewa. Serce, gotowe do usług, było powodem, że pan Józef nie żenił się powtórnie, choć pragnąłby może męskiego potomka; tak się bowiem zdarzało, że serce wdowca brała w niewolę coraz to inna kobieta, niestosowna na żonę: to zbyt młoda, to wietrznica, to znowu mężatka. Nie chciał też pan Józef dawać macochy ukochanej córce, jedynaczce, I tak się żyło szeroko, pożytecznie i wesoło; żyło się sercem, zużywaniem dla siebie i dla bliźnich, a przecie tego klejnotu jakoś nie ubywało.

Przypatrzeć się tylko Bronieckiemu, gdy stoi, o wschodzie słońca, w pobliżu dworu, na skrzyżowaniu dróg „pałacowej“ i folwarcznej, opromieniony radością lipcowego poranku na jasnej alpadze ubrania, na twarzy czerstwej, szerokiej, w miarę wąsatej, tryskającej energią z uśmiechniętych oczu i wydatnego podbródka.

— Hej, byki! — woła na fornali, prowadzących konie do wodopoju w rzeczce — mówiłem: pompować wodę w koryta, a nie rozmamływać mi burty końskimi i waszemi kopytami!

Bez urazy, owszem, ze skwapliwymi uśmiechami cofnęli fornale konie od brzegu rzeczki i jęli pompować wodę w koryta, praktycznie ustawione do pojenia.

Na dzwoniący przez podwórze potężny głos dziedzica wytrysnął ze swego domu rządcą, chudy młodzieniec, ubrany do konia z austrjacka po angielsku, elegant, nieco stropiony, ocierając chustką usta po kawie.

— Panie Wierzbowski — przywitał go Bromecki, podając mu dwa palce z dłoni, dzierzącej laskę, jakby chciał mu dać poczuć razem fawor swój i berło — lepiej zawsze być na nogach, zanim słoneczko wygramoli się ze swych puchów — o! Jak już wylezie, a nie zobaczy pana w tych angielskich majtadałach, gotowo się zasmucić — a potrzebne nam bardzo na chyże podebranie tych kiosków — o!

Ponieważ młody rządcą przyjął reprimandę z godnością, lecz bez buntu, mówił pan Broniecki dalej już bez ironji:

— Weźmiesz mi, panie Karolu, dwa gąsiory gohy od panienki dla żniwaków, ale nie dawać im, dopiero wieczorem, jeżeli dozną do macicznego rowu. Na południe ani kapki! — niech się chłopyszki zwijają i oblizują na wieczór, Tylko wodę świeżą do picia trzymać ciągle w beczkach przy żniwie, bo termometr gotów znowu dzisiaj wybryknąć na trzydzieści w cieniu.

Skłonił się posłusznie Wierzbowski, poczem ze swej strony przedstawił kwestję dzienną do rozstrzygnięcia:

— Męczy mnie, panie dziedzicu, Barbara Zimna, parobczycha, że jej podczas ostatniej ulewy krupy w komorze zawilgły z powodu dachu, który zaciekał na tamtej stronie ośmioraka.

— Dach przecie poprawiony?

— Ale krupy tymczasem spleśniały, panie dziedzicu.

Broniecki zamyślił się na chwilę, pochylił i laską na kurzu ziemnym kreślił jakieś znaki. Poczem krótki wydał wyrok:

— Wstrzykniemy jej tróję.

A gdy młody rządcą, niedawno praktykujący w Sławoszewie, trochę się rozdziawił.

— Cóż to? — parsknął Broniecki — nie rozumiesz pan po polsku? — wyasygnujemy jej trzy ruble odszkodowania — co tu długo gadać?

— Ach, tak...

Tymczasem osiodłano konia dla pana rządcy, który go dosiadł pośpiesznie i, nie trafiwszy w prawe strzemię, oddalił się krzywym targanym cwałem. Pył za nim wstawał po drodze wydłużonym obłokiem, fioletowym od porannych promieni, i leżał leniwie w bezwietrznym spokoju, aż powoli zaczął przeciągać na prawo, na tłusty łąn zielonego jeszcze jęczmienia, i rozwłóczać się nad nim coraz rzadszą mgławicą.

— Jeździ niebożę, jak małpa na pudlu — mruknął Broniecki — to i szkapę dopasowałem rarytną do kawalera: Cygany ją dwa razy kradły i porzuciły, jako

dla siebie niezdatną. Ale chłop nie najgorszy...

Mówił tymczasem sam do siebie, gdyż na okólniku przeciągały tylko stworzenia bezmowne, niemniej jednak zajmujące, jak oto krowy, kroczące falistemi przegubami ciał prawie jednobarwnych, popielatych — sto głów dostojnych, wydłużonych w pyski antylopiego wdzięku, z pięknymi oczyma, przymrużonemi arystokratycznie. Zarodowa obora w Sławoszewie była jedną z chlub Bronieckiego — to też głąskał spojrzeniem lśniącej skóry swych ulubienic, obejmował okiem ogromne ich, mlekodajne wymiona — aż minęły wszystkie w nieposzlakowanej paradzie i starszy pastuch, zaganiający stado, przypadł do ręki dziedzicowej. Ubrany był dziwacznie, na głowie w lisiej czapie, której nigdy nie porzucał, nawet w najcieńsze upały, podrygujący i krotofilny, pomieszany trochę na umyśle, ale taki majster do krów, tak szczęśliwy do przychówku, że go nikt nie myślał oddalić od stada, którego zresztą doglądał wybornie.

— Jakże, Kobuzek, będzie pociecha z wczorajszego cielaka od Cybeli?

— Proszę jaśnie dziedzica, Cybula jesce mi nic nie mówiła.

— A powie ci, myślisz?

— Kuzda mi mówi.

— I jakże to, naprzykład?

— Kiedy myczy: mu-mu-mój — cielak będzie dobry na chów, A kiedy stęka, kiej Świnia, i ogonem odgania — cielak dobry tylko dla Żyda, abo na stół pański.

— Dobrze, Kobuzek; jak ci krowa powie, co będzie z tego cielęcia, to i ty mnie powiesz.

— A juści, kiej powie — — heta! heta, bydlaki! — zawołał na krowy, miarkując, że niektóre zboczyły na lewo, ku rzeczce, i namyślały się, czy ulec pokusie chlipnięcia połyskującej wody. — I poleciał za swem codziennem towarzystwem.

Dzień się rozgwarzał coraz głośniej. Z gęgań, kwakań i piał cała kapela buchala od strony małego ptasiego okólnika; konie, pozostawione w stajni, dawały znać oburzonem rzeniem, że im także należy się wolność pohasania przez ziemię rozkwitłą, pod niebem szafirowem. Turkoty wozów, rozgłośne zrazu na brukach podjazdowych i na mostach przy domu, ucichały potem na drodze miękkiej, ale trwały w powietrzu drzeniem tak lekkim, że je rój pszczoł, osiadający lipy, zagłuszał. I wilgi, zwiastunki upału, już wzięły prym w ogrodzie, pomimo hecy najrozmaitszego ptactwa, od maleńkich szaraczków, szczebioczących gminnie, aż do lirycznych, rozgruchanych pod niebem turkawek. Zdaleka, gdzieś od rozkoszy pastwisk, dolatywał czasem groźnie spazmatyczny ryk buhaja, albo pisk jakiś samiczy — może piosenka dziewczyny.

Zasłuchał się Broniecki w całej tej, tak dobrze znajomej muzyce i poił się nią, jak czemś swoim, a nawet niby własnym utworem. Jużci, gdyby nie on, chlebodawca tylu ludzi, hodowca tylu zwierząt, rolnik sławny i ogrodnik, nie byłoby tak pełno, tak wonnie, tak szczęśliwie w Sławoszewie, choćby nawet lipiec wystąpił ze swym dniem najpiękniejszym. Triumfalnie więc spozierał na słońce, współgospodarza, chwając dzieła jego, ale i sam oddając sobie sprawiedliwość.

Dobry to właściwie los gospodarza na dużym, własnym kawale ziemi, może najlepszy z losów. Masz w nim zadowolenia władzy, użyteczności publicznej i własnego pożytku. Nad setkami istot panujesz prawie bez konstytucji i możesz je łatwo uczynić szczęśliwymi; możesz sadzić sobie laury obok złotodajnych buraków. Wolno ci zmuszać twą ziemię do wydawania tego, co każesz, czy zechcesz mieć wielki plon zboża, czy dla oka najmiłsze widoki. Wolno ci urządzić sobie ze swego kraiku pustelnię, albo zaludnić go setkami ludzi szczęśliwszych. Wszystko ci wolno...

— O, psia! — ten nowy cyrkularz o szkołach ludowych! — potknął się Broniecki dotkliwie o kamień graniczny swej wielmożności.

Zepsuło mu to rozkosz porannego obejścia gospodarstwa i przyspieszyło powrót do domu. Ale tu, zaraz od progu, powrócił humor panu Józefowi żywiołowo, bez kompensaty jakichś wyjątkowo pomyślnych zdarzeń, poprostu dlatego, że zdrowie fizyczne i moralne było stanem jego codziennym.

Stwierdził raz jeszcze z głębokim zadowoleniem, że dom był wygodny i wesoły. Nawet plastry z trucizną na muchy, świeżo przywiezione z Łowicza, działały wybornie: much pozostało tylko tyle w pokojach, ile było potrzeba dla przyjemnego pobrzęku w razie zupełnego braku towarzystwa. Na ścianie przedpokoju, nad zegarem pradziadowskim, który chodził, jak słońce, roztaczał sążniowe skrzydła wypchany orzeł. Takiego orła nikt w Polsce nie zabił, oprócz pana Józefa Bronieckiego. W jadalni jasne meble jesionowe z ozdobami rzeźbionymi z czarnej gruszy były dużo weselsze, niż ten ponury styl gdański, za gęsto już spotykany. I cały pokój pachnął kawą — nie bylejaką spalenizną, lecz cudowną mieszaniną ziarn Mokki, Cejlonu i Jawy z małą domieszką kawy ligowej.

Jakoż pan Broniecki zasiadł nie zwlekając do stołu, nachylił kolejno do filiżanki dziobki naczyń, sączących płyny, sztyldkretowy i biały, ocukrzył, pociągnął z rozkoszą. Ze srebrnego koszyka wziął jedno z ciastek brunatno-złocistych, posypanych solą i makiem, jakichś nowych w zawiązaniu węzła, i skosztowawszy, zawołał:

— Rany Boskie! co za obwarzanki!

Chrupał i chlpał zajadłe, aż pełnemi ustami musiał odpowiedzieć Mańce,

która wpadła do jadalni. Powitanie, pocałowanie ojca w ramię, wręczenie mu zamkniętej depeszy — odbyło się, zanim przełknął.

— Dzień dobry, Mań... co to?

— Depesza.

— Niam, niam... — przełknął i odetchnął. — Zobaczymy.

Podczas gdy otwierał, Mańka z za krzesła zaglądała wesołemi, sprytnemi oczętami, podrygując na palcach, a biła od niej taka fala dziewczęcej niecierpliwości, że ojciec ją poczuł i odwrócił się na krześle.

— Poczekaj, Manieczko! może coś wcale nie dla ciebie.

— Ee, proszę tatki! stara już jestem, mogę wszystko wiedzieć.

Żywy prawie, jak córka, ale raczej podległy tyranji Manieczki, niż nad nią panujący, pan Józef powstał żwawo z krzesła, poszedł do okna i przeczytał dla siebie tekst depeszy: „Przyjedziemy Sławoszewo czwartek południe w wiadomej sprawie. Sprowadźcie Rykonia. Jerzy Godziemba — Aleksander Leśniowski — Czesław Młocki“.

— No, możesz to wiedzieć, Maniuś, a nawet koniecznie: trzech druhów przyjeżdża do nas pojutrze o południu. Potrzebne: obiad, kolacja i pokoje gościnne.

— A widzi tatuś, że mogłam odrazu... Cóż to za panowie?

— Dwóch od Sasa — statyści, jeden od lasa — fircyk. Nie wiem nawet, jak się z tamtymi zabrał.

— Który? który?!

— Proszę, proszę... zaraz mi do fircyka córuchna... No, Leśniowski Oleś — nawet sławny tancerz.

— To będzie i zabawa! — klasnęła w ręce Mańka — zaprosićby i Drobińskich? — We dwie panie można już potańcować.

— Gdzie zaś? — Dopominają się o Rykonia, będzie narada o domu ludowym.

— Ale po naradzie?

— No, wieczorem, przydałaby się i pani Kara Drobińska dla ożywienia towarzystwa. Można jeszcze kogo...

— Tak, tak, tatusiu! coś i dla Mańki!

— Pomyślimy.

Tymczasem Mańka stanęła przed dużym lustrem, sięgającym posadzki, i przyglądała się swej postaci, bardziej strojnej młodością, niż perkalową sukienką i fartuszkiem białym, poplamionym karnazynowo przez wiśnie, gotowane na konfitury.

— W fartuszku tym nie pokażesz się gościom, córuś.

— Gdzieżby znowu!

Odpasała fartuszek błyskawicznie i stanęła w całej ozdobie swej postaci niezbyt wielkiej, ale smacznej w proporcjach, szczerze obiecującej przez niekunsztowną sukienkę. W twarzy gładkiej, mocno barwnej, jakby z dwóch wydętych płatków róży złożonej, nikły drobne rysy, tylko wszystko w niej się śmiało: niebieskie oczy, białe ząbki, poczciwe i energiczne dołeczki. Jasne, jedwabne włosy skręcone były tak pośpiesznie, że gdzieś na wierzchu głowy, trochę na lewo, sterczała płowa kitka, niby obfity kłos dojrzałego zboża.

— I włosy trochę inaczej — dodał Broniecki, wpatrując się z lubością w córkę — najlepiej tak à la grecque — wiesz?

— To mam znowu te fałszywe karakuły przyczepiać?! — niecierpię tego!

— Masz tobie! karakuły! — parsknął Broniecki — wszystko, co usłyszysz, powtarza, jak papużka! To ja o pani Drobińskiej mówiłem, bo ma włosy czarne, jak heban. Ale gdzież do twoich jasnych kudełków karakuły?! Trochę zawsze loczków przyczep, córuchno, kiedy taka moda. Trzeba im pokazać, że jesteśmy Europejczykami — o!

— A na obiad niema ryby! — zawołała Mania tragicznie.

— Musi być! Od czegoż mam córkę sławną gospodynię?

— Pójdę sama łapać.

— Łap, co chcesz, byle mi ciebie nie złapano zaraz z domu.

— Nie tak łatwo, fiu, fiu! — zagwizdała Mańka zarozumiale, choć oczy jej śmiały się zbyt odważnie do niebezpieczeństw.

Młodszy służyący, Wicek, oznajmił, że bryczka dla jaśnie pana zajęła. Broniecki dopił kawę i siadł w małą, jednokonną bidkę, którą sam powoził. Chciał osobiście dojrzeć żniwa.

Świeżo jeszcze było na drogach i polach, póki rosa nie oschła. Ulubiony kasztan Bronieckiego niósł go tak rączo przez napojone woniami rozłogi, że zdawał się wymykać z obłoku pyłu, który podnosił, a mknąc przez dziedzinę samych tylko czystych, roślinnych zapachów, zaprawnych trochę wonią domową i przyjemną świeżo smarowanego juchtowego fartucha. Furkała bida, mało podskakując na dobrej drodze, ciągnęła ku sobie oczy ludzkie, zrzadka rozsiane po krainie, i nikt, zblizka, czy zdaleka, nie mylił się:

— Patrzajta! — dziedzić ci wyrywa.

Bo ktoby tak gnał i w tak wybornego kasztana?

Trzeba być zatwardziałym ekonomistą, aby się cieszyć tem ogromnem spustoszeniem krasy polnej, które nazywamy żniwem. Gdzie jeszcze nie przeszły wężowo syczące kosy ręczne, gdzie nie grasował rytmiczny kościotrup kosiarki, najbogatsza odzież ziemi pyszni się i połyska wierzchnią pozłotą, wabi w swe niskie gąszcze, w których słońce więźnie płowym mętem. A tu już zabójcze narzędzia uczyniły ogromny wyłom i odcięły od fali żywej zżęte pole

umarłe. Wesołe to poprawdzie umieranie: kładzie się pokolenie kłosów w bujne Pokosy, przetkane kwieciami i badylem, z ledwie dosłyszalnym szmerem, niby westchnieniem; za zgrzytem siekącego żelaza idzie słodki śpiew dziewczyn, wiążących snopy, lekkomyślnych pomocnic śmierci.

Broniecki nie dumał tak po literacku, gdy, dotarwszy do żniwa, oddał konia z bidą karbowemu, a sam dochodził piechotą po świeżem, soczysto chrupiącem pod butami ścierniu. Tylko, gdy zauważył, że gwary i śpiewy ucichły za jego zbliżeniem, zawołał energicznie i wesoło:

— Drzyjcie się dalej, dziewczuchy!

I stwierdziwszy, że żniwiarka, pod osobistym nadzorem pana Wierzbowskiego, działa wzorowo, podcina równo i nisko, że kosiarze ręczni docinają też prawidłowo skrawek pola, nieobjęty przez maszynę, wyprzedził cały roboczy szwadron i poszedł miedzą aż do macicznego rowu, który przecinał ogromny łąn pszenicy i miał być kresem dzisiejszego zadania żeńców. Nad obiema burtami zielonego wądołu stało jeszcze murem złote zboże, cicho pod upałem; tylko skoczny pokrzyk przepiórki rozlegał się w niem przenikliwie, tłumaczony przez obłudnego człowieka, jako:

— Pójdźcie żąć! pójdźcie żąć! a w istocie znaczący zupełnie co innego.

Staął sobie Broniecki na brzegu polnego kanału samotny, zasłonięty zupełnie przez wysoką pszenicę od widoku żeńców. Może tam tylko dziedzicowy kapeluszyk wyglądał do nich zdaleka nad powierzchnią łąnu i straszyl — nie straszyl, lecz przecie trochę napominał do pośpiechu. Zadumał się Broniecki nad żniwem: po wierzchu jego duszy migał przypuszczalny rachunek, ile też pszenica „Banatka”, sprowadzona z Węgier, sypnie mu korcy z morgi — ale na dnie duszy śniło inne rojenie. Jeszcze w pełni lata ściele się już droga po ściernisku nadciągającej jesieni. — I on sam, jeszcze w pełni wieku, chylic się zacznie wkrótce ku smutniejszej życia porze, która się już nową wiosną nie odmłodzi. — Te ci psiakość, grzeszne cielsko rozrasta się niepotrzebnie, aż rozpycha ubrania, które przez lat dziesięć nie wychodziły z formy. Brzucha niema? — nie, ale kości jakoś się rozszerzyły, czy co?...

A tu krew kipi jeszcze, jak za młodu, kiedy dobierze się kompanja przyjazna i wino zacne, albo kiedy znówu zawabi jaka samiczka, mniej czuła na podrygi fircyków, a bardziej na męskie, dojrzałe zalety i... pozycję. Jeżeli przypomni się natrętny dziedziczny artretyzm, chluśniesz na niego winem i odpędzisz; jeżeli powikła się tam miłosne przedsięwzięcie, potarga trochę za serce i nerwy — to forda! W każdej życia chwili, codziennej, czy świątecznej, wczesnej czy późniejszej, jest coś godnego kochania. Zachować w sobie tylko mocne przekonanie, że świat jest dla wszystkich, nie tylko dla niedorosłych fircyków, którzy nie wiedzą nawet, co piją, gdy piją.

I oddał się cały rozkoszy chwili. Upał, niby lotny, miód, ogarniał go zewsząd przedziwną, bez prądów, kąpielą. Czy z powodu mniej dokładnej przy rowie uprawy, czy przez propagandę pogranicznej dzikiej darni, zboże było tu podszyte doborem kwitnących chwastów, niemiłych sumieniu gospodarza, ale silnie kuszących zmysły, jak wszelkie posiewy Szatana. Barwne miodowniki i kąkofo buchały pijanym zapachem, a wiotkie chabry zerkały kobiecym błękitem; od stoku rowu wpełzały głęboko w zboże szlaki stokroci i kępy końskiego rumianu — całe pokolenia wesołych, grzesznych kwiatów, gorszących uczciwe zboże. Broniecki, srogi agronom, lecz nie całkiem pochłonięty Przez zimną rachubę, uzalił się nad kwiatami, które dziś zginą pod kosą, z pszenicą pospołu — legł na stoku rowu i rwał garściami najbarwniejsze. Przydadzą się na wiązanki Manieczce, a nawet te niezapominajki z dna rowu cudnie przystroją serwis kryształowy, który dobędzie się dla zastawy stołu na przyjęcie gości.

Tymczasem w gęstwie łodyg pszennych zamigotał przy ziemi jakiś ruch szary, dostrzegalny tylko dlatego, że cały łąn stał nieruchomy — na krańcu zboża, przy rowie stanęła kuropatwa, skulona w swem gładkiem futerku, osłupiała. Od świtu prowadząc swe tegoroczne pokolenie znajomymi ścieżkami przez stepy pszenne, oddalała się od zgiełku żniwa ku bezpiecznym przepaściom wielkiego kanału. Aż gdy do nich dotarła, widzi: na zielonym stoku leży ogromny człowiek. — Spojrzała mu trwożnie w oczy i ptasim, jednak przezornym mózgiem pojęła: niezły jakiś człowiek, uśmiecha się i rwie kwiaty — pewno mu do pożywienia potrzebne, jak nam poronione przez kłosa ziarnka — frunęła mu prawie ponad głową na przeciwległy brzeg rowu i zapadła blisko, dając znać swemu potomstwu stłumionem huknięciem, że można tędy. Więc za nią kurki mniejsze wysypały się z pszenicy szarem gronem, niby tłustych baśków wierzbowych i, mniej do lotu skore, przewinęły się różańcem po zielonych kobiercach rowu na miejsce, gdzie wabiła je matka.

A Broniecki leżał cicho, uśmiechnięty, myśląc o rzeczach pogodnych, jak oto, że dużo będzie kur na jesienne polowanie, bo stada liczne i zdrowo już teraz podrosły — że to ładne, a nie często się uda widzieć z tak bliska — że dobrze człowiekowi przy samej ziemi, na jej łonie żywnem, matczynem, pospołu ze zwierzem i kwitnącem ziele.

Naraz przypomniało mu się, że pojutrze ma naradę, na którą trzeba nawet trochę się przygotować i zaprosić jeszcze paru mądrali — —

— Na ten upał sprawy publiczne! — Żeby choć po naradzie dobrze pić chcieli — ale to wszystko, żal się Boże — abstynenty!

II.

Tegoż pięknego poranku Jan Rykoń wyszedł bardzo wczesnie z kosą na swoje pole. Było tam sporo do skoszenia, dziesięć bez mała mórg żyta już dojrzałego, a póki się to zbierze, już i pszenica na pięciu morgach dojdzie. To też Rykoń miał do pomocy dwóch parobków: Ignacego Fudałę i Michała Bembenistę, chłopów tęgich, chociaż Bembenista trochę się rozwydrzył, chodząc dawniej na miejskie zarobki, i gębę miał skorą do polityki, ale, gdy się szczerze jął kosy, silniej robił, niż Fudała.

Dobrze się posiliwszy mlekiem i chlebem z masłem, szli we trzech, ubrani jednakowo w filcowe kapelusze, spencerki amarantowe i koszule, puszczone na parciane portki, bez wierzchniej odzieży, ze względu na prażący już ze wschodem słońca upał — I niebawem stanęli przed łąnem żytnim, siwym zupełnie od dojrzałości, ugiętym po wierzchu okrągłą falą pochylonych kłosów.

— No, w imię Boże — —

Zaciął pierwszy Rykoń od między gracko, zajmując kosą prawie sążęń szerokości, i ciachał tak, sporo przystępując, aż się oddalił od między na długość pręta.

— Tera, Michał, żazynaj!

Machnął Bembenista o sążęń na prawo, docinając do usłanej już drogi Rykoniowej, a gdy wysięki nową prętowej długości, na trzeciego ruszył Fudała. Świstały zgodnie kosy, rzadko kiedy minęły się głosem — i słał się w głąb żyta gościniec szeroki, czołem postępujący w trzy schody, przekreślony dwoma nasypami bujnych pokosów. Gdy doszli do końca łąnu, Rykoń stanął, wyjął z za pasa osełkę i zaczął ostrzyć żeleziec. Za jego przykładem poszli parobcy i rozległ się po cichem polu ostry zgrzyt metalu, urągający powietrznej melodji skowronków.

— Docinaj-no, Michał, jak się patrzy! — warknął Rykoń, odrzucając butem pokosy Bembenisty i okazując pod niemi zbyt wysoki grzebień ściernia. Patrzaj! Ignac zgoił, jak brzytwą.

— Ale nie ma tej szyrokości zajęcia co moja broniał się Bembenista.

— Bo tyli nie urósł, co ty. No dalej!

— A nie ciągnijcie-no za sobą tak ostro, gospodarzu — aż dech zapiera — wypraszał się znowu Fudała.

— Widzicie go! pochwalić tylko, już go zapiera!

Zagrały znowu kosy potrójnym świstem, żeńcy wcinali się coraz głębiej w łąn, poważnie i zajadle, — A pies Kasztan, pozostawszy na między, spoglądał za

kosiarzami i długo się namyślał: poco on tu przyszedł? Był z rodu Owczarskich, ale że owiec gospodarz nie trzymał, Kasztan nudził się trochę w Rykoniowej zagrodzie, jak każda istota bez zajęcia i wykolejona. Przeżywić się w bogatej chacie było nie trudno, ale pies nie miał ani szacunku, ani miłości u ludzi. Nie wesoły też był, ani dowcipny; lisią swą mordą zdawał się wyrażać namysł jakoby o zmianie służby. Pokłusował teraz napowrót do chaty ze zwieszoną głową, powłócząc ogonem. I nie znalazł tam nic, oprócz codziennych, obojętnych wrażeń.

Z chaty wyszli gospodarz i parobcy, a dziewczka służebna była też na podwórzu przy obrządku. Tylko stara Pawłowa, matka Jana, wielka mistrzyni od tkactwa przędła już od rana na kołowrotku. Choć niedawno wszyscy wstali, chata była pięknie uporządkowana: pościel na łóżkach piętrzyła się bogato; długie, nakształt wańtuchów, poduszki rozpychały białe poszewki, okazując na krótkich bokach barwne swe wnętrzości, zasznurowane siecią wąskich wstążeczek, żółtych, czerwonych, zielonych i srebrnych. Przy angielskiej kuchni stał godny piec kaflowy na cztery boki — oboje teraz zimne, jako najmniej rozgrzewane w te upały. W alkierzu oszklona szafa okazywała szeregi kwiecistych talerzy, sztorcem ustawionych na półkach, i cynowe łyżki, zatknięte w otwory specjalnie na to przygotowanej deszczki. Nad komodą obraz Częstochowski jaśniał złotem sukienek Matki i Dzieciątka, między dwoma płaskimi bukietami z papierowych kwiatów. I między innymi obrazami wisały powycinane „stroje“, to w kształcie skrzyżowanych kwiecistych pasów z frendzlami, to jako kwiaty pojedyncze, przypięte do ściany. Wisały też między świętościami i w przystroju wypukłe medaljony Mickiewicza i Kościuszki.

Dobrze pachnęło w izbie i niezbyt jeszcze było w niej gorąco, bo okna otworzyła za pierwszego świtu stara Rykonina, która sypiać nie mogła tak twardo, jak młodzi, i wstawiała razem z zorzą. Więc nabrało się do izb świeżości nocnej, mocno ziołami i zbożami zaprawnej, i świeżość ta topniała w chacie powoli. Teraz od strony rozgorzałego słońca przymknięto okiennice z zewnątrz, a okna otworzono do środka, więc światła było skąpo, tylko od szpar w okiennicach szły przez izbę dwa świetlne kroje, mętne w powietrzu, jaskrawe zaś na czystej podłodze i na barwnie ozdobionych ścianach.

Dochodziły z za ścian do wnętrza chaty różne głosy: kłopotliwe gadanie drobiu, opozycyjny pomruk świń, czasami dziarskie rzenie ogiera albo gwałt podniesiony przez psa z niewiadomego powodu. Głosy te słyhać było tuż za ścianą, albo dalej i dużo dalej, bo osada Rykoniów leżała pośrodku wielkiej wsi Mielna. — W izbie zaś szeptał cichutko, jak przez sen, dobrze naoliwiony kołowrotek, i parę pszczoł, zabłąkanych z sadu, grało altowym akordem.

Przypomniały się Pawłowej drogocenne, białe kury, sprowadzone przez Jana

aż z zagranicy. Sama ich doglądała, aby dogodzić synowi, któremu prowadziła gospodarstwo kobiece z pomocą najętej dziewczki, gdyż Jan, pomimo że minął już trzydzieści lat, dotąd nie ożenił się. Różnie gadano, dlaczego — ale matka musiała wiedzieć, bo na wszelkie w tym względzie zapytania odpowiadała milczeniem tajemniczym a pogardliwym.

Zabrała tedy w zapaskę resztę krup jęczmiennych „na dodatek“ dla owych kur i wyszła z chaty przed drzwi główne. Zanim okrąży domostwo i uda się na podwórze, spojrzy na dzień boży radosny. Stała przed drzwiami na brukowym podejździe, prostokątnym i wzniesionym nad poziom głównej drogi wiejskiej nakształt tarasu. Znała ten kraj już od lat z górą pięćdziesięciu, bo w Mielnie się rodziła. Ale za jej pamięci zmieniał się i wypiękniał. Zamiast drogi krętej i błotnistej, dobrej znajomej z lat młodszych, jaka ci teraz szosa galanta! — będzie jej ze dwie wiorsty w klamrę, I chat już niema tych dawnych, małych, z szerokimi okapami na kroksztynkach, same dzisiaj domostwa pod sznur wyrzchtowane, „bielone na niebiesko”; a jakie bramki, a sztachety, a murki z kamienia naokoło osad! Osady zaś Rykoniowej i poznaćby trudno, gdyby tu kto od lat dziesięciu nie bywał: sad, szkółka owocowa, pasieka i dachów sześć, z których jeden osobny na parnik paszy dla bydła!

Dziwowała się Pawłowa coraz nowym przeistoczeniem wsi rodzinnej, ale nie gorszyły jej bynajmniej. Tak być musi, bo do tego prowadzi jej syn ukochany, Jaśko, któryby już i wójtem powinien być, gdyby nie naród sąsiedzki ciemny. Pomagała mu całą siłą rąk, jeszcze sprawnych i niewygasłego matczynego serca, starczyła za młodą gospodynię w domu i około domu, a już co do zamiarów szerszych, robót gromadzkich, gdzie Rykoń był naczelnikiem wszędzie, matka patrzyła tylko z uwielbieniem w oczy syna, czego on chce i dokąd prowadzi.

Dobrze jej było wprawdzie z dostojeństwem jedynej gospodyni w chacie, lepiej jeszcze, niż za nieboszczyka Pawła, ojca Jaśkowego, ale nie zamyślała nigdy stawiać przeszkód, gdyby Jan wybrał sobie nareszcie żonę. Nie wybrał dotąd — to było dla matki prawem. Tymczasem dla gospodarstwa prawie że lepiej: matka w niem pracowała gorliwiej, niż dla siebie, bo dla ukochanego syna; jako starucha, nie potrzebowała zabaw, ani strojów; reszta domowników była najemna. Jeżeli tylko dwaj parobcy albo dziewczka chybią w robocie lub uczciwości, można ich odprawić. Rykoń był stateczny i majątek rok rocznie pomnażał: już dokupił do czterdziestu dwóch mórg ziemi, a inwentarza ciągle przybywało. Więc, widać, Bóg błogosławił gospodarce, choć w stanie kawalerskim.

Przechodziły czasem Pawłowej wątpienia przez serce, czy Jaśko, ciągle zajęty pracą dla siebie i dla innych, zawsze samotny w swem łożu, jest należycie szczęśliwy? — Przepytywała się o gospodarskie córki co przedniejsze, upatrując

między niemi kandydatkę na synową, ale Rykoń nie spojrział na żadną. I niedziw, bo któraż była go naprawdę godna? — Żarliwa troska o zadowolenie syna naraiła już nawet matce pomysł nie całkiem bogobojny: niby nieumyślnie przyjęła w roku zeszłym za dziewczkę do pomocy Maryskę Szustaczkę, córkę komorników, więc na żonę dla Rykonina wcale niemożliwą, ale bardzo gładką i zalotną. Niechta ma synaczek choć na co czasem popatrzeć w chacie, dla wesołości. Próba udała się niefortunnie: gospodarz nie zwrócił uwagi na dziewczkę, chociaż go na pokusy wodziła ciągiem, to w lecie ze śpiewką po nocy, to w zimie przed świtem paląc w piecu podle łoża, gdzie Jan spoczywał. Zato wyszło na jaw wkrótce, że Maryska zadała się z parobkiem Wieteską. Zmuszono Wieteskę do ożenku z Szustaczką i oboje wydalono z chaty. Poczem stara Rykonina przyjęła na służbę Anastazję, dziewczkę mocną, pracowitą i skromną, ale tak pokraczną, że jej nawet Bembenista, chłop rozwyrzony po miastach, nie zaczepiał. A matczysko myślało sobie o synku: musi tam on już święty być, albo inne mieć pociechy, kiedy z domu wyjeżdża?

Miała syna ciągle na pamięci, przeczuwając go raczej, niż rozumiejąc. I teraz szukała go oczyma w wiadomym kierunku, gdzie poszedł dzisiaj kosić, pod Kościelnem, zamykającym świat od północy szeregiem dachów i wieżą świątyni, wzniesionej niedawno przez gminę, a tak wspaniałej, że i z kolegiatą Łowicką o prym walczyła. Ale darmo było wypatrywać na wiorstę oddalenia i przez mur żyta wysokości tęgiego chłopca. Jeny słały się po polu barwy, mokro połyskujące, jeno płynęły wonie natężone.

Zręby domów bliższych, pociągnięte niebieską farbą, często rzeźbą ozdobne na drzwiach głównych i na okiennicach, błyskały radośnie. Szeregi dalsze zlewały się w poziomy pas lazuru, odcięty od nieba tej samej barwy szarym pasem strzech, to znowu pokreślone słupami drzew przydrożnych, przetkane zielenią sadów. A wewnątrz tej ogromnej klamry z lazuru, popiołu i zieleni iskrzył się pasiasty kilim zbóż rozmaitych, dziany amarantem koniczyn, mlecznym szmaragdem jęczmion, szczerym majem lnu, na przeważnej osnowie zbóż płowych i złocistych. Tu i owdzie ludzie, drobni, jak owady, toczyli kobierzec żniwiarską robotą, ścieląc za sobą prostokątne, wyżarte plamy.

Niemłoda była już Pawłowa, już o szczęściu dla siebie bezpośrednio nie myśląca, a jednak ją w taki piękny dzień nosiło. I tak się zagawroniła przed siebie, w zbożową dal, zamiast krupy nieść kurom, aż nie spostrzegła, że do jej progu zdąża po głównej wiejskiej drodze jaskrawa postać kobieca. Dopiero gdy kobieta doszła do pierwszego słupa Rykoniowego frontu, Pawłowa ją się jej przyglądać badawczo:

— Kie lichy? — przybrana z gostyńska, a z parasolką? — —

Dorodna dziewczyna miała na sobie sukienkę jednobarwną zieloną z czarną

aksamitką, naszytą na wysokości kolan i stanik z adamaszku „bladego“ [włóścianie z pod Łowicza i Gostynina nazywają „bladą“ barwę różową] w złote kwiaty. Czerwone sznurowadła obciskały jej zgrabne trzewiki aż do łydki. Tylko zapaskę miała w „brązki“ [różnobarwne tęcze wąskich pręg na tle zasadniczym, zwykle żółto-pomarańczowym. Brązki = prążki (także „mrażki“)], łowicką, bo i w Gostyńskim noszą takie same — i obcisłą na głowie „salinówkę“ [lekka chusta wełniana lepszego gatunku] z końcami, puszczone na plecy, wedle wspólnej mody obu ziem sąsiednich. Nie zwracały też na siebie szczególnej uwagi, gdyby nie wyjątkowa świeżość ubioru i parasolka rozpięta nad głową. Bo że śmigła była i gładka, że weseliły się ciemne oczy, a usta jakoby drapieżne śmiały się do życia — to nie dziwota w okolicy, gdzie pięknych dziewczyn jest tyle, co maków w polu.

Doszła do progu i Rykoninę pocałowała w rękę. Dopiero się stara ocknęła z podziwu:

— Na wieki... Ano tak i myślałam se: Magdusia ze dworu. — Cóżecie się to panna tak wystroili po naszymu?

— Mówcie mi, matko, po imieniu — toć od dziecka wam znajoma. — A kiedy idę do Rykoniowej chaty, jakżebym szła, jeżeli nie po naszymu.

Gospodyni spoglądała niby łaskawie, ale z odcieniem niedowierzania:

— Z czym przysłaś?

— Dziedzic mi oddał list do waszego syna.

— W polu je, przy żniwie.

— A kędy?

— Daleko, o tam, pod Kościelnem... Pismo ostaw, to się wieczorem odczyta.

— Kiedy mi dziedzic kazał przynieść zaraz odpowiedź — —

— To się przy okazji pośle w pole, a z odpowiedzią znajdziemy posłańca do Sławoszewa.

— Kazali mi samej,..

Pawłowa patrzyła na każdą młodą, dorodną dziewczuchę ze stanowiska, czy mogłaby to być żona dla Jaśka. Ale stosowała przy oględzinach tak wysokie wymagania, że jej się właściwie nie podobała żadna. Magda zaś Olczakówna, córka ubogich rodziców, nie Księżaczka, służąca przy panience w Sławoszewie, mogła mieć pewien polor towarzyski, mogła umieć czytać i pisać — kobiecie to mało na co zdatne — ale pewnikiem już się rozbałamuciła na dworskim lekkim chlebie — ani wiana, ani gospodarskiej godności nie posiada. I bardzo jej jakoś pilno do osobistej rozmowy z Janem.

— Jakżeś to panna przeszła tyli kawał drogi, że i kurzu nie znać na trzewikach?

— Podwieźli mnie do chaty Gładocha, a stamtąd już do was niedaleko i szłam

ostrożnie.

— Patrzajcie, jaka alagantka! — — a zapaska to chyba u nas tkana?

— Nie, matko, w Sławoszewie, mojej własnej roboty.

Pawłowa ujęła w doświadczone palce wełnę Pasiastego fartucha, pomacała, pogładziła i nie znajdując nic do zarzucenia tkaninie, pokiwała poważnie głową.

— No, wejdz se do izby dla odpoczynku. Ja tylko te krupy kurom rzucę.

Magda wchodziła tu po raz pierwszy. Rykoniów znała z kościoła, Jana widywała nierzadko u dziedzica w Sławoszewie, ale w chacie ich nie była. Ogarnął ją półmrok tem gęstszy, że przez godzinę miała w oczach jaskrawy blask słońca. Cisza, ład i zapach zielny przejęły ją uszanowaniem niby religijnem; spotkawszy oczyma złoty obraz Częstochowski, mimowolnie pochyliła głowę i przeżegnała się. Dużo chat widziała w życiu, pochodziła z chaty, ale to wewnątrz wydało jej się najdostojniejszym, choć zimnem. Trudnoby się tu rozśmiać, albo zaśpiewać, jak w garderobie w Sławoszewie, pełnej gwaru, gałganków, wstążek i zapachu prasowanej bielizny. Tutaj chyba tylko pracować i modlić się... Dopiero łóżko bogato zasłane, z pewną zalotnością, przypuszczalnie łóżko gospodarza, wywołało uśmiech na usta Magdy:

— Także ci chłop dziwny...

Powróciła do izby Pawłowa i zaczęła się znowu certacja o doręczeniu listu.

— Pozwólcie mi, matko, iść tam, gdzie koszą i list oddać. Mówiła mi panienka, że stoi tu o ważnej sprawie, nie dworskiej, jeno waszej.

Pawłowa ujęła się za podbródek i dobre pięć minut namyślała się, spoglądając to na wystrojoną dziewczynę, to na list, który ona dobyła z kieszeni, to na zegar. Aż z ukrytych przesłanek wyłonił się głośny wniosek:

— Ano, chyba weźmiesz mi dla nich dwojaki ze śniadaniem? — — Tobym już nie szukała, przez kogo posłać.

— Zaniosę, zaniosę — odpowiedziała chętnie Magda.

— Poczkażże jeszcze z pół godziny.

* * *

Dróżką polną, napoły zarośniętą, szła Magda z dwojakami, pod parasolką, w kierunku do Rykoniowego żniwa. Tu i owdzie kosiarz.....